Lwów 11. Października №121. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce stanął książę przed wielkiemi drzwiami żelaznemi, które wiodły do skarbca. Nadbiegł tej chwili z kluczami przełożony skarbca, kapitan de Vitte, i witał księcia u drzwi.

— Nie mogło przeznaczenie, odezwał się Drzwiowski z podchlebną uniżonością, szczęśliwszym herbem uposażyć dom waszej książęcej mości, nad ten, który tu na tych żelaznych podwojach wyrobiony. Trzy trąby zdają się światu głosić trzy główne cnoty rodu oświeconego pana, pierwsza wiarę, druga sprawiedliwość a trzecia miłosierdzie; a orły jakby na straży, strzegą tych cnót!

— Trafny koncept! waść panie kochanku masz ingenium.

Kapitan podał z uszanowaniem inwentarz przedmiotów na aksamitnej poduszeczce złożony.

— Dziękuję waści! rzekł na to ksziąże; ale wierz mi waść, że moja głowa panie kochanku, to najlepszy raptularz. Wiem ja wszystko co mam i gdzie co leży.

Długo dosyć przechadzali się po skarbcu, złożonym z trzech sali podłużnych. Pan Drzwiowski z niewymownem ukontentowaniem przypatrował się tym wszystkim zgromadzonym tam osobliwościom, gdyż aczkolwiek bliskim był Nieświeża sąsiadem, nigdy mu jakoś na myśl nie przyszło prosić o wstęp do skarbca. A było zaprawdę co w nim widzieć! były tam przewyborne malowidła, rozmaite zbroje, numizmata ojczyste, porcelany i mozaiki; zbroje rozmaitych narodów i wieków, insygnja książąt Radziwiłłów, i inne sprzęty z drogich kruszczów, świecące drogiemi kamieńmi.

— Dobrze kapitanku! kontent jestem; wielki panuje porządek! ale pokaż no waść Drzwiowskiemu mumię egipską. Wystaw sobie panie kochanku, jaki miałem temi dniami szkaradny sen! śniło mi się, że mi ją gwałtem do łóżka pakują. Krzyczałem panie kochanku jak opętany!

— Okropny sen zaiste; i to szczęście że wasza książęca mość nie poniosłeś żadnego szwanku na zdrowiu.. Ale jakie to sekreta mieli doskonałe do bejcowania dawniej, kiedy to tyle wieków trwa, i niepożycie się konserwuje.

— Patrzaj no jeszcze waść panie kochanku, na tych dwanaście koni misternej roboty, ubranych w rozmaite rzędy i dyftyki!

Jeszcze się obejrzał książe, ale widocznie znudziło go już to oglądanie, skłoniwszy się zatem kapitanowi, spieszył nazad do swego pokoju, i co prędzej rzucił się w poręczowe krzesło.

— A teraz panie kochanku przejdźmy senatorów tuzinami, po każdym ukończonym zawiadomisz mnie waść.

— Na rozkaz zaczynam. Szukając za Barbarą królową polską, małżonką ukochaną Zygmunta Augusta, równającego się między Potockiemi splendoru, upatruję niejaką chyba kompenzacyją w Jędrzejn Potockim, kasztelanie krakowskim, hetmanie polnym koronnym, przez Jana III. wice królem mianowanym przez dyploma, gdy tenże król spieszył Wiedniowi na pomoc. — Jerzemu Radziwiłowi, biskupowi krakowskiemu, kardynałowi s. Sixti, odpowiada w rodzie Potockich Teodor, arcybiskup gnieźnieński, prymas korony polskiej i wielkiego księstwa litewskiego.

Wojciechowi Rądziwiłłowi, biskupowi wileńskiemu, Mikołaj Potocki, kasztelan krakowski.

Mikołajowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, Feliks Potocki, kasztelan krakowski.

Mikołajowi drugiemu Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, Józef Potocki, kasztelan krakowski.

Mikołajowi trzeciemu, jako wojewodzie wileńskiemu Stanisław Potocki, wojewoda krakowski.

Mikołajowi czwartemu, jako wojewodzie wileńskiemu, Stanisław Potocki, wojewoda poznański.

Krzysztofowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, Józef Potocki, wojewoda kijowski.

Mikołajowi piątemu, tego imienia wojewodzie wileńskiemu, Stanisław Potocki, wojewoda kijowski.

Krzysztofowi, drugiemu tego imienia, wojewodzie wileńskiemu, Franciszek Salezy Potocki, wojewoda kijowski.

Janowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, Michał Potocki, wojewoda wołyński.

Michałowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, Aleksander Potocki, wojewoda smoleński.

— Uprzedzam waszą książęcą mość iż już się skończył tuzin pierwszy, w którym ten tylko defekt ma miejsce, że najjaśniejsza Barbara w komput poszła.

— Czytaj waść dalej.

— Michałowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, odpowiada w godności Stanisław Potocki, wojewoda smoleński.

Waszej książęcej mości jako również wojewodzie wileńskiemu, Stefan Potocki, wojewoda bełzki.

Jerzemu Radziwiłłowi, kasztelanowi wileńskiemu, Stanisław Potocki, wojewoda bełzki.

Janowi Radziwiłłowi, kasztelanowi wileńskiemu, Antoni Potocki, wojewoda bełzki.

Wojciechowi Radziwiłłowi, kasztelanowi wileńskiemu, Stefan Potocki, wojewoda mazowiecki.

Janowi Radziwiłłowi, kasztelawowi trockiemu Jan Potocki, wojewoda bracławski.

Janowi Jerzemu, kasztelanowi trockiemu, Jakób Potocki, wojewoda bracławski.

Janowi Radziwiłłowi, staroście żmudzkiemu, Stefan Potocki, wojewoda bracławski.

Stanisławowi Radziwiłłowi, staroście żmudzkiemu, Piotr Potocki, wojewoda bracławski.

Mikołajowi Radziwiłłowi, wojewodzie nowogrodzkiemu Jędrzej Potocki, wojewoda bracławski.

Zygmuntowi Radziwiłłowi, wojewodzie nowogrodzkiemu, Jan Potocki, wojewoda bracławski.

Janowi Radziwiłłowi, wojewodzie nowogrodzkiemu, Piotr Potocki, wojewoda czernichowski.

— Na tych oświecony panie, kończę tuzin drugi mojej uniżonej komparacyi.

— Tam do djabła! dotrzymują placu panie kochanku! zawołał książe, który się już niecierpliewić począł. Czytaj waść dalej.

— Mikołajowi Radziwiłłowi, wojewodzie nowogrodzkiemu, Stanisław Potocki, kasztelan kijowski w paralelli staje.

Jerzemu Radziwiłłowi, wojewodzie nowogrodzkiemu, Józef Potocki, kasztelan kijowski.

Aleksandrowi Radziwiłłowi, wojewodzie brześciańskiemu, Józef Potocki, kasztelan lwowski.

Józefowi Radziwiłłowi, wojewodzie mińskiemu, Jędrzej Potocki, kasztelan kamieniecki.

— Tutaj jaśnie oświecony panie przerwać muszę cokolwiek excerpt mój, gdyż jak powiedziałem, mówił uroczyście pan Loran, pomagając sobie krząkaniem, między ministerjami litewskiemi więcej Radziwiłłów, jak Potockich między ministerjami Korony się okaże; ale zanim drugiego rejestru dobędę, doczytać jeszcze muszę parę Potockich kasztelanów, jakiemi byli: Jan Potocki, kasztelan bracławski, i Włostko z Potoka, kasztelan wiślicki.

— Do stu djabłów! krzyknął tu książe karol zgniewany i zniecierpliwiony. Cóż mi tam waćpan panie kochanku czytasz za bzdurstwa o jakimś Włostku z Potoka!.. Jakiż waść masz dowód na to, że to Potocki. Niespodziewałem się panie kochanku po tobie mości Drzwiowski takiej ignorancyi.

Tu wstał z krzesła i przechadzał się czas jakiś widocznie zirytowany.

— Dosyć tego będzie na raz! dodał po chwili spokojniejszym już głosem. Nie czytaj mi wyciągu dotyczącego się ministerjów, nie pomogą one do zwycięstwa, dużo to tam takich, których już wspomniałeś przy wojewodzkich i kasztelańskich krzesłach.

Pan Loran sam niewiedział co ma począć, czy pokłonić się uniżenie i wynieść się, czy rozmowę zakierować na milsze dla księcia przedmioty, gdy w tej chwili wszedł sekretarz przyboczny księcia i przyniósł nadeszłą pocztę.

Książę skwapliwie odłączywszy druki od listów, przypatrywał się z uwagą pieczęciom, co było zwyczajem w upłynionem stuleciu. Jedna z korespondencyi odznaczała się ogromną pieczęcią. Książę postrzegłszy ją, podniósł do góry, i uśmiechnął się szyderczo.

— Aha panie kochanku! zawołał, chcą się zbliżyć.

Snać go to już w lepszy wprowadziło humor, bo dawszy znak sekretarzowi aby odszedł, spojrzał na Drzwiowskiego okiem przyjaznem i śmiejacem się.

— A niezapomnij aspan panie kochanku przedłożyć mi jak najrychlej abrys na kasarnię, i przywieź Jasia do mnie jak nadjedzie, może się od niego co dowiem.... bo z tych listów, dodał, nic ciekawego nie wyczytasz; oświeconości dużo, braterstwa jeszcze więcej, a treść wysilona zawsze i fałszywa.

— Korzystać nieomieszkam z najłaskawszego pozwolenia, uniżenie się ścieląc pod stopy waszej książęcej mości. I właśnie jadę go witać, gdyż się go lada chwila spodziewam.

— Nie bądź dzieckiem, panie Loranie, zostań w Nieświeżu, wypraw do domu Kozaka, który mu da znać, aby zaraz do nas przyjechał.

— Ale bo to oświecony panie, młode to jeszcze, i niemało grzeszyło; dla tego pierwsze widzenie się nasze powinnoby sam na sam wypaść. Za parę dni wszakże nieomieszkam korzystać z najłaskawszego pozwolenia, tymczasem racz wasza książęca mość przyjąć moją najuniżeńszą submissją.

— Bywaj że mi zdrów, kiedy inaczej być nie może i kiedyś taki uparty panie kochanku jak kozieł, ale pierwej najedz się i napij u mnie, a ja się tymczasem prześpię, może też łatwiej a przynajmiej prędzej przejdzie mój post, który mi dokucza.

Zostawmy teraz księcia drzymiącego, a Drzwiowskiego zajadającego z apetytem, i popijającego z pośpiechem, by mógł co prędzej wracać do domu, a sami przenieśmy się na powrót do Klecka, i zajrzyjmy co przez ten czas porabia pan Filtański. Dziwnem jest to usposobienie ludzi, nie mających własnej exystencyi; lgną oni zupełnie do tych, których stają

się towarzyszami nieoddzielnemi przez ciąg podróży ziemskiej, żyją ich życiem, trzymają ich mienie za swoje, dzielą ich szczęście i radość, smutek i troski. Zdaje się z tego że się do nich przywiązują, i zaiste przywiązują się, ale idzie o to pytanie, czy jak pies do osoby, czy jak kot do domu. Częściej podobno to ostatnie się wydarza.

Takim był i Filtański, którego właśnie zastajemy, jak wróciwszy z wycieczki gospodarskiej, w której nałajał się, nagdyrał i nauporządkował należycie, zadumany biega teraz po izbie, z kwaśną nader miną. Jakoż te jego myśli, które nieraz słowami głośnemi wyrzuca z siebie, nie są wesołe.

— Coś tak głupiego jak mój stary, trudno sobie wyobrazić, myślał w duszy pan Filtański. Składał jak kutwa całe życie, a dziś na schyłku życia, bo starszy przecie odemnie i fatalnie wygląda, dziś co powinien myśleć jakby resztę dni swoich zabespieczyć od potrzeby, on zdaje się nadtem pracować, jakby najprędzej wszystko stracić! Na kiego diabła jemu szlachectwa? Drzwiowski szlachcic! o tfu!... o ludzka głupoto! Tymczasem to rozpali fantazją Jasunia, już i tak bujną. Pożałuj Boże! kocham starego, ale przyznać muszę, że wielki z niego błazen!... Jeździ a jeździ do Nieświeża stary cymbał! tam go za burą sukę niemają, a on jak liże tak liże, a ogónkiem kiwa z pokorą, i za tyle trudów za tyle poświęceń, czy choć jeden rodzynek przypłynął z tamtąd do nas. No i pytam się teraz, co się ze mną stanie, gdzie ja się obrócę, jak stary beknie, a o to dalipan nie trudno. Wszak i przysłowie powiada: „niewiedzieć kto z kraju.” Na Jasunia kochanego wdzięczność niema co rachować. Chłopczysko rozpuszczone, któremu całe mienie przepłynie przez palec jak przez rzeszoto. I gotów nadjechać! a rozum każe przyjąć go dobrze! Biednaż to moja dola!... A może Bóg dobry da, że nieprzyjedzie, ta że to nie pierwsze jego przyrzeczenie.

Takie były jeremiady, biegające po głowie Filtańskiego, z któremi zmęczony usiadł wreszcie pod oknem.... gdy nagle trąbka pocztowa dała się słyszeć w bliskości.

— Tra! tra! tra! tra!

— Tam do diabła, taże to on! bo niedźwiedzie na nim, i lokaj w galonach na koźle, to rozrzutnik!... Coż robić? trzeba wyjść na przeciwko, uśmiechać się, choć serce boli.

— Jak się ma pan Michał? zawołał młodzieniec; a co robi papa? czy zdrów?

— Pan wyjechał przed parą godzinami do Nieświeża, wkrótce wróci. Ja tymczasem postaram się o to, aby naszemu drogiemu oczku w głowie na niczem nie zbywało.

— Dziękuję ci poczciwy panie Michale! znam twoje przywiązanie i uczucia dla nas.

Pan Michał spuścił oczy, i krząknął z wyrazem, który miał być niby oznaką wielkiego rozczulenia.

— Jeżeliś łaskaw, to daj mi najprzód dobry jaki pokój, bo po długiej i męczącej drodze, nie jestem zbyt zdrów; mam mocną migrenę.

— Migrenę! patrzcie państwo! jaki mi gagatek do migreny! syn kauzyperdy! myślał i mruczał pod nosem pan Filtański, idąc naprzód przed podróżnym, by mu wskazać pokój gościnny, który jak już wiemy, był zarazem spiżarnią.

— To jest pokój, który jegomość sam przeznaczył dla pana. Wnoście rzeczy tymczasem, ja każę przynieść łóżko.

— Cóż, jak psa mnie przyjmujecie, ozwał się Jasio nie bez gniewu. Zimno i nieczysto, a dotego pełno będzie zapewne myszy i szczurów, nawet zasnąć nie będę mógł.

— Wszystko się to odmieni panie Janie, jak ojciec nadjedzie, a tymczasem chodźmy na tamtą stronę, każę zaraz zastawić jedzenie jakie.

A gdy wyszli obaj, służący przyjezdny i domowy, zwykłym a wspólnym zwyczajem zaczęli rozmawiać o swoich panach.

— Co to za diabeł ten, co mego pana tu lokuje w spiżarni.

— To jest Filtański, zastępca mego starego, ojca waszego pana, taki złodziej, jak i tamten.

— A dlaczegoż to ojciec mego pana ma być złodziejem?...

— Kto kradnie, to złodziej przecie, tak czy nie?...

— Niema co mówić.

— Otóż stary okradł wielkich panów w Koronie, jakichsić tam Leszczyńskich, taj z tego powstał.

— A pfe! ja mego pana miał za coś! Ja co służyłem u Czosnowskich, Cieciszewskich, Szymanowskich, mam teraz u takiego tam jakiegoś służyć.... To dla mnie nie uchodzi, będę się musiał odprawić.

Taką bawili się rozmową, póki nie przygotowali i nie posłali łóżka.

(C d. n.)

POŻEGNANIE.

Obok dworka na pagórku
Tęskny młodzian stał,
I ku druhom w pożegnanie
Białą chustką wiał.

I gdy rzeczkę już minęli,
Gdy ich lasek skrył,
Spojrzał młodzian — na dolinie
Kłąb się kurzu wzbił.

Więc ku ziemi spuścił oczy,
Łzą się zaćmił wzrok,
A na duszy znów sierocej
Zapadł smutku mrok.

I po chwili wzdłuż doliny
Spojrzał młodzian w dal,
I z wiatrami za druhami
Posłał głośny żal:

— „Bracia moi, towarzysze,
Szczęść wam Boże w świat!
Wam los drogę kwieciem ścieli
Od najmłodszych lat.” —

„Mnie jednego ach biednego
Wciąż przygniata ból,
Dla mnie wiernie, rosną ciernie
Śród szerokich pól.” —

„Wy na świecie zakwitniecie
Śród pogody tam,
Ja z tęsknoty pośród słoty
Zwiędnę tutaj sam.” —

„Do was bracia niedoleci
Mój żałośny głos,
Troska wieczna i ból wieczny
Pobielą mi włos.” —

„A gdy kiedyś w szczęsnej dobie
Głośny huknie grom....
Wy przyjdziecie i znajdziecie
Pomnie pusty dom.” —

„I na innym już pagórku
Gnieść mnie będzie głaz,
I badyle na mogile
Wrosną z cierniem wraz.” —

R. K.

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Dokończenie).

Po takiej operacyi w godzinę czy dalej, smaczno zasnąłem i do wieczora spałem, aż mię przyszedłszy cyrulicy obudzili.

Gdym się ocknął, posłyszałem, iż całe plastry opadly, tak nagłe puchlina odpadła: musieli więc de novo opatrzyć, a mnie też przypadł wielki apetyt, któregom od kilku dni nie miał, co było znakiem, iż cale wyszedłem z niebezpieczeństwa. Nadjechała też matka moja, przed którą pan Leśniewski układał się jak wilczek, że mnie wprowadził w takie hazardy; leżał on w tejże stancyi i ciż cyrulicy go leczyli, dając mu smarowanie, gdyż był wszystek w sinościach. Póki byłem w niebezpieczeństwie, bardzo i on był słaby, nie tak z pobicia (lubo i to siła mu zdrowia odjęło), jak bardziej z alteracyi i turbacyi o mnie; gdy zaś usłyszał od cyrulika, żem wyszedł z niebezpieczeństwa, zaczął się przechadzać i ustawnie siedział przy mnie; a że był wielki akcencista z panem Karolem Święcickim, takoż wesołym człekiem, cieszyli mnie jak mogli, i lubo niezupełnie zdrowi byli, Leśniewski na bandurze grając skakał, a Święcicki różne figle wyrabiał.

Matka moja w kilka dni wyjechała, zostawiwszy przy mnie swoją ochmistrzynią, Puzyrowską i Imci pannę siostrę moją, dzisiejszą panią koniuszynę oszmiańską. Wkrótce zacząłem się przechadzać po pokoju na kulach; cyrulicy życzyli mi odjechać do domu, co nieprędzej uczynić mogłem, aż we cztery niedziele po postrzeleniu. Jeszczem w domu przez niedziel kilka z pokoju nie wychodził, potem lubom nie mógł nastąpić na nogę, jednak na kulach przechadzałem się, i w pole z chartami w saniach jeździłem. Kule porzuciłem jakoś o Nowym Roku, rana zaś zupełnie się zgoiła w niedziel 18 po postrzale.

Nim ja z Mścisławia odjechałem do domu, brat mój wziąwszy wiadomość co się stało w Zubowszczyznie, przysłał do mnie Rądkowskiego sługę, dla wzięcia wiadomości lepszej. Pojechał tedy pan Święcicki do Litwy, a widząc, że brat mój natenczas podczaszy mścisławski, miał być na początku trybunału w Nowogródku: tam się więc udał i znalazł brata mego nad Niemnem na przewozie, cztery mile od Nowogródka, popasającego w karczmie; gdzie bratu mojemu dowodnie opowiedział tak o tranzakcyi, jako o niebezpieczeństwie życia w którym byłem. Brat mój to słysząc, przytem też przyczytawszy listy, które miał od nas, bardzo był zalterowany; aż jak na nieszczęście nadjeżdża ów Czyż, wojski wileński, coto dwa razy strzelił do brata mojego, czasu jego pisarstwa kadencyi ruskiej. Poruszony więc brat mój passyą, porwał się do niego z szablą, a Czyż kolaską jadący, miał przy sobie strzelbę; porwał się do niej, lecz nim wystrzelił, brat mój ciął go po ręku: słudzy uderzyli po sługach; Czyżowscy więc uciekli, i Czyż wyskoczywszy z kolaski, uciekał, ale Janiszewski sługa brata mojego, dogoniwszy go, niemiłosiernie rąbał, aż mój brat obronił.

Dostało mu się natenczas i po głowie, i po nosie, i po ręku. Po takowej akcyi brat mój wrócił do Nowogródka, i zwierzywszy się niektórym deputatom tego, co się stało, oraz poradziwszy się względem obudwóch akcyi z patronami, pojechał do Wojstomia, do państwa Burzyńskich, natenczas instygatora litewskiego, gdzie rezydowała teraźniejsza żona jego; i tam co miał otrzymać determinacyą o czasie wesela, to odebrał rezolucyą: iż póki nie

zakończy interesu z Czyżem, żony mieć nie będzie. Odjechawszy więc w Bracławskie, przebywał w Jodach i w Drui, a z Nowogródka ustawne miewał raporta; a że Czyż był cale niebezpieczny życia, więc brat mój miał zawsze wszelką około siebie ostrożność.

O takowych naszych akcyach dowiedziawszy się Imć ksiądz biskup, brat nasz, w niezupełnem zostający zdrowiu, ciężko zachorował; a tak ten rok 1742 był dla nas wszystkich trzech braci klimakteryczny. Wszystko to jednak Pan Bóg z miłosierdzia swojego odmienić raczył, bo Imć ksiądz biskup w kilka niedziel ozdrowiał; ja tak miałem dobrze wyleczoną nogę, że mi do lat dwudziestu mało kiedy dolegała; a zaś jak Czyż ozdrowiał, tak panu podczaszemu, bratu mojemu i turbacya ustała; bo pojechawszy do Nowogródka, za przypadnięciem aktoratu, stanął do rozprawy, i poszła inkwizycya tak względem strzelania do okna, jakoteż o porąbanie; a że Czyż był do zwady i różnych akcyi skłonny, poszła więc z nim inkwizycya de vita et moribus. Po takowym dekrecie brat mój chcąc przejść do konkluzyi w staraniu się o żonę swoję, musiał pogodzić Czyża, dawszy mu 1000 talarów bitych i coś z porządku; na tem więc skończyła się sprawa.

Zbywszy zatem ten kłopot z głowy, brat mój otrzymał determinacyą o czasie wesela; więc dnia 27 Januarii 1743 roku, pojął in sociam vitae Imć pannę Barbarę Kopciównę, pisarzównę litewską, teraźniejszą żonę swoję. Dawał ślub Imć ksiądz biskup żmudzki, brat nasz.

(B. W.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

przez

Bolesława Kopcia.

Żółta kareta.

Kilkanaście już mil odjechałem od stolicy, wszędzie jadąc szeroką drogą, wszędzie piękne pola, wonne powietrze, błękitne niebo.... ale pocóż ja wam piszę o tem wszystkiem!—to powietrze, którem ja oddychałem nie odświeży waszej piersi—chocbyście sto razy zawołali z pośrodka ulic: powietrza! powietrza.— Wy nie pojmiecie w uczuciu, nie doznacie tych wszystkich zamiejskich przyjemności, choćbym wam je przesłał z najpowabniejszych opisach.

Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen.

napisał Göthe—zaczynam więc powtórnie.

Słońce prawie na środku horyzontu wzniesione, dopiekać poczyna niemiłosiernie, tak, że głowa znużona, ciało zmęczone upałem, popada omdleniu, i sen dobrodziej gwałtem ciśnie się na oczy; gdybym nie jechał szosą, dawnobym już uległ sennym marzeniom, lecz często pomykające się powozy, bryczki, poczty, zaciekawiają mię i co chwilę budzą mię mą myśl ospałą; lecz otoż i zjeżdżamy z szosy w bok, na prawo, na trakt połamany, poprzecinany wyrwami różnej głębokości, i usiatkowany kałużami błota, które na całej drodze zdaleka świecą się stojącą w nich zgniłą wodą. — I tu spać nie mogę, bo ciągłe odskakiwanie bryczki nie na resorach, przechylanie się jej z jednej strony na drugą, częste grzęznięcie w błocie, częste obryzganie błotem twarzy, zmusza do baczności i trzeźwości, która jest nieznośną, bo człowiek czuje jak kości się odbijają, jak grube płaty błota z pod kopyt końskich silnie przylepiają się w kształcie czarnych plastrów lub muszek, pod oczyma lub nosem, przed tem zupełnie czystym.

Ojcowie nasi gdyby powstali z grobów, wszystkiemu by się dziwić musieli — bo wszystko postęp przekształcił. Ale wjechawszy na drogi uboczne: przyznaliby — że śmiała ręka nowatorów, nie miała odwagi, ruszyć i przeinaczyć tych szlaków błotnistych, zarzuconych kamieniami, rowami, połamanemi mostami — które i u ojców naszych i u nas nazywają się drogami publicznemi! Nie chcę dłużej ubolewać nad niedbalstwem gmin, które nieraz najmniejszego szarwarku skąpią do utrzymania w porządku dróg przechodzących przez ich dobra, nie chcę przemawiać do nich w imieniu podróżnych, których dobre konie na podobnych drogach zrywają się i niszczą, w imieniu włościan, których szkapy nieraz znajdują grób w tych drogowych kałużach i wyrwach — bo by mnie mógł kto śmiało posądzić o interesowność, albowiem i 3ch wiorst nie ujechałem, a konie moje wcale dobre, już się zmęczyły, zerwały, nareszcie ugrzęzły... i ani rusz dalej! Rad nie rad, wprzód obejrzawszy grunt w około bryczki, wysiadłem z niej i gorzko się uśmiechając z klątw mego furmana Ignacego, poważnie, szeroko zacząłem stąpać po błocie, w którem formy mego obuwia aż do kostek najplastyczniej się odbijały; koło jedno od bryczki wpadło w wyrwę, zarzuconą kamieniami i zalaną błotem, mimo więc wysilań koni nie mogło się wydobyć z zasadzki podbłotnej, aż dopiero gdyśmy użyli pomocy sił własnych i wieśniaka, obok nas przejeżdżającego. Przy wściekłych krzykach wio! hop! a heit! konie wzięły od razu, pociągnęły, i koło wyskoczyło jak z procy, ale na nieszczęście oś, owa oś, która tak często łamie się podróżującym w powieściach, pękła! jakby ją kto nożem na dwie części rozkrajał. Rospacz nas ogarnęła, bo i oś nowa i bryczka nowa; furman klnie taką podróż, ja narzekam na fabrykanta, wieśniak radzi związanie powrozem części złamanych, w końcu wszyscy wziąwszy się do pracy, złataliśmy jakoś co było potrzeba, i ostrożnie usiadłszy na bryczkę, w imie kowala mieszkającego, jak wieśniak nas upewnił, o wiorstę w Bociance, noga za nogą ruszyliśmy dalej. O! jak długą była ta jedna wiorsta do upragnionego kowala, jak radośnie i śmiało spojrzałem na związane części bryczki,

gdy wioska wyjrzała z za lasu, i jak prędko wyskoczyłem z bryczki gdyśmy stanęli przed karczmą, stojącą w ulicy wsi, jeszcze bardziej rozbłoconej jak reszta drogi? Podług objaśnień karczmarza idę w stronę, w której szarzał wysoki dwór, mijam szczęśliwie tysiące nieprzyjemnych dołów, wzgórz i rozpadlin, i nareszcie staję z bryczką przed małą kuźnią kowalską, przez której ściany podzinrawione dym i skry wylatujące dobrą mi czyniły nadzieję. Posmolony, kudłaty, w lisiej czapie na zlanej potem głowie wychodzi do mnie kowal, trzymając w jednej żylastej ręce młot, drugą zaś gładząc swe piersi czarno obrosłe i okryte koszulą, brudniejszą od błota co się przelewało pod mojemi nogami; długo małe, świecące oczy biegały mu żywo, gdy oglądał części połamane bryczki, w końcu podjął się reperacji, zapraszając mnie abym wstąpił do jego izby odpocząć i oczyścić suknie błotem poplamione.

Błogosławiona osi powieściowa! ty i tam razem jesteś źródłem, z którego czerpię treść do tego obrazka, ty mi dajesz błogie przekonanie, że nie ma nieszczęścia zupełnie nieszczęśliwego, dobrześ zrobiła żeś pękła! bo stratę kilkunastu złotych i opóźnienie w podróży sowicie mi wynagrodzą te wszystkie sceny, jakich musiałem być widzem a nawet uczestnikiem, i któremi dzielę się z wami mili czytelnicy, uspakajając was o przyszłości, w której zapoznawszy się lepiej z okolicą, do której zdążam, będę mógł coś więcej gruntowniejszego i ciekawszego ponieść przed oczy waszych głów literackich.

Ten dach słomą przegniłą, sczerniałą pokryty, wspierający się na czterech ścianach, nie równoodlegle od siebie i nieprostopadle do ziemi z drzewa wzniesionych, prześwitujących nieforemnemi dziurami okien i drzwi, ten dach mówię tak wsparty czterema deskami wystającemi nad grzbiet jego i oblepionemi gliną, z której słoma jako nici spojne na wszystkie strony się jeży — jest dachem rodziny żydowskiej, do której grona należy i kowal, obecnie zajęty naprawą mej bryczki. Chałupa żydowska, położona od kuźni o kilkanaście kałuż kilko-łokciowych, leżała od dworu w dość poufałej odległości, a ścieżka twarda, wydeptana od chałupy do dworu kazała się domyślać, że mieszkańcy dworu miewali dość częste komunikacje z siedzibą żydowską, w której już nie jedno pokolenie żydowskie odrodziło się na ziemię krętarstwa, i nie jedna familja w niej wzrosłszy, poszła w świat szukać i przyznać się do ojczyzny tam, gdzie jej najlepiej iść będą interesa w rzemiośle faktora.

Zabłocony, nierobiąc sobie subjekcyi, szedłem po kupach śmieci, żużli, wiorów, ku owej chałupie żydowskiej, w której drzwiach w tej chwili stanęła jakaś żydóweczka, średniego wzrostu, twarzy białej jak mleko, lecz osmolonej do obrzydliwości, włosów czarno-kruczych, zapierzonych i rozrzuconych w nieładzie; przybrana była jak najnędzniejsze dziecko Izraela, sukienka poobrywana i zaszargana okrywała jej ciało, nie ujęte w żadne formy przyzwoite, rękawy, zakasane po łokcie, odkrywały ręce białe i czyste! na których kawałki żółtego ciasta poprzylepiane, świadczyły, że owa osmolona, obszarpana żydówka tylko co odeszła od stolnicy i kopańki, założonej ciastem na kugle szabasowe. Nie mam się za przenikliwego i odgadywacza piękna tam, gdzie go ludzie prostego oka dopatrzyć nie mogą, ale tym razem zainteresowawszy się osobą żydówki, niewystawiłem się na wstyd we własnych oczach, bo rzeczywiście pod tą czarna powłoką brudu ukrywała się twarz pięknych rysów, biała, w pośród której niebieskie oczy, to dziko to niedbale spoglądające, kazały żałować, że w narodzie tym wszystko i wszystko, dopóki się kufer banknotami nie napełni, poświęca się brudom i brudom!! Że w narodzie, w którym zdaje się najwięcej objawiać popędu do spełnienia przykazania miłości bliźniego, jedności i wzajemnego wsparcia ubogich, nędzy jest więcej jak w każdej innej ludności innego wyznania; lecz wszystko się to widać trzyma, dopóki jawny nieprzyjaciel grozi, ale gdy nieprzyjaciel zwyciężonym zostanie, a swoboda zaświeci, i ogniwa się rozsprzęgają, i jedni o drugich zapominając, żyją dla siebie, jakby się uzbrajając na nowe napaści, z któremi walczyć sami, pojedyńczo, kiedyś będą zmuszeni. Nieprzyjacielem żydów były narody innych wyznań; najprzód uważali ich jako nieprzyjaciół w religii, potem gdy zapał religijny powoli ostygał, gdy wielu Izraelitów wyrzekło się jawnych przesądów swej wiary, naród ten miał nieprzyjaciół i współzawodników w innych narodowościach, prosto jako w kupcach, w ludziach żyjących z pieniędzy i dla pieniędzy. Starania, zabiegi, tyle sprawiły, że żydzi zwyciężywszy nieprzyjaciela, wywalczyli sobie swobodę t. j. posiedli w swe ręce handel, poczęli przepuszczać przez swe ręce złoto i srebro, a tak się uzacniwszy, pracują, szachrują, zbierają dla siebie, o nic więcej niedbając. Nic dziwnego,— naród tak ogromny, tak wielki, tak dziwny, z pochodzeniem tak szczytnem, z przyszłością żadną a może wielce zagadkową, bez kawałka ziemi rodzinnej, musiał sobie w czemciś upodobać i całą duszą się w to wcielić, tego się uczepić, aby nie zginąć w massie innych narodowości. Potrzeba im swojej ojczyzny, swojej ziemi, lecz skąd ją wziąć, od kogo odebrać, od kogo kupić.

Wziąć i kupić od tego co rządzi wszystkiem, co wszystko na wieczność naprzód widzi, od tego co naznacza cele robaczkom i narodom, od tego, u którego kupić można, płacąc ze skarbu nieskończonego, jaki Syn Boży nam zostawił. Naród ten zbiera miliony, a milion wieków upłynie, a grosz ten na kupno od Boga ziemi, w jednej cząstce wieczności z jedności, na swej wartości nie zyszcze; — bo jeśli naród chce posiąść ziemię, niech za nią płaci Bogu ze skarbu zostawionego narodom, jeśli człowiek tylko, niech za nią płaci człowiekowi, ze skarbu złota i miedzi!

Takie i tym podobne uwagi przesunęły mi się po myśli, gdy córka Izraela szwargocząc swym połamanym językiem, wróciła do izby, od której drzwi otwarte nęciły mnie abym wszedł w środek tego przybytku niechlujstwa, nędzy znałogowionej, modlitwy i wszystkich obrzędów wiary przedchrystusowej. — Nęciły! o czytelnicy jakiż tam uśmiech musi biegać po waszych ustach, gdyście się doczytali, że byłem znęcony wejść do izby żydowskiej, zapowietrzonej wyziewami, zagęszczonej dymem i pierzem, unoszącem się z betów, wysoko na szerokich łożach usłanych. — Zaprawdę dziwną, oryginalną, artystyczną! trzeba mieć ciekawość, aby odważyć się zbliżyć do sieni, przez którą przeciąg powietrza niesie ci zapachy cebulowe z ogródka za chałupą, zasadzonego szczypiorkiem, cebulą, fasolą.... Nie myślcie jednak czytelnicy, że tylko prosta ciekawość tym razem mnie powodowała. Może i was miałem na względzie, chcąc wam przedstawić wnętrze chaty żydowskiej, w której pewnoście nigdy nie postali. O tak tak! panowie i panie — autor chcący pisać dla was, powinien na nic nie zważać, wszędzie brnąć, wszystko podsłuchać, wszystkiego dotknąć, i spróbować, byle wam wszystko dać widzić, wszystko wam w jasnych kolorach przedstawić. I ja dla was poświęcony, wybieram po drodze wszystko o czem byście chcieli czytać, nie zważam na nic. Np. jadąc w suche lato, wybrałem drogę po błocie, po kałużach i przepaściach, wtenczas gdy jadąc od Baranków na Bydłów, Krówków i Cielątków, najsuchszą nogą przejechawszy mil kilkanaście, stanąłbym u swego celu. Lecz ja dla tego wybrałem drogę, na której wiecznie woda stoi, (z powodu licznych strumieni na polach rozlanych), na której wiecznie oś pęka — ażebym mógł wstąpić do domu mego przyjaciela, człowieka zacnego, niezwykłego i dla nas ciekawego — a dla mnie nieznośnego nudziarza, bo żadną miarą pieniędzy pożyczonych oddawać nie chce, wszystko to dla was! aaa! co za poświęcenie?!

W rogu obszernej izby, oddzielonej od dachu pułapem cienko belkowanym, na szerokim kominie buchał dym z kupy tlących się wiorów, przy których poustawiane garnki mieściły w sobie wieczerzę szabasową. Na podłodze w okół komina siedziało kilkoro bachurów, przerzucając mosiężnemi lichtarzami, kubkami cynowemi, łyżkami, powyjmowanemi z szafy do oczyszczenia; po obu stronach izby, przy ścianach stały usłane dość w porządku łoża półtoraczne, pod białemi perkalowemi zasłonami. Stoły, stołki były powynoszone do sieni, gdzie dziewczęta zajmowały się oczyszczaniem ich przez polanie ciepłą wodą z tygodniowego brudu; przy łożach rozłożona była stolnica, niecki, a w nich kilkanaście kugli szabasowych, z esami i floresami na brzuchach. Za tą główną izbą, w której do 12 osób ciągle mieszkało, był mniejszy alkierzyk, nieco czyściejszy, nie tyle odymiony i obszarpany, chociaż był zarazem sypialnią, mleczarnią i pracownią krawca. Na deskach, podpartych słupkami, stały garnki, beczułki i maślanki z mlekiem, w przeciwnym rogu alkierza wisiała szafka z wykładaniami mahoniowemi w kształcie kogutów i innych ptaków nie drapieżnych, zakryta starą, czerwoną sukienną firanką; był to ołtarz domowy, przy którym po zachodcie słońca, przy zapalonych dwóch z boku świeczkach, żydzi poodziewani w białe płachty, oddają cześć Bogu. Na ścianach wisiały obrzydliwe litografie, pooprawiane w czerwone ramy za szkło zielone, i wyobrażające rabinów i uczonych żydowskich w Królestwie i za granicą; pod samem oknem, zamkniętem, aby ulubiony żydowstwu zapach zmieszanych wyziewów i zaduch nie uleciał i nie stracił co z swej mocy, zmięszawszy się ze świeżem letniem powietrzem, na małym stoliku siedział rudowłosy żydek krawiec. Chudy, wyżółkły żyd, mogący mieć 25 lat, a już ojciec licznej rodziny, siedział z założonemi nogami pod siebie, trzymając na kolanach jakiś sukienny surdut jasno-niebieskiego koloru; bródka rzadka, doskonale ruda, pejsy majestatycznie pokręcone i długie, łeb podgolony i krymka axamitna, w tył głowy zsunięta, pokazywały, że żydek nie był chciwy nowatorstwa. Żydek Josek Zynkier, krawiec z powołania, faktor z natury, uczciwy i szczery z potrzeby, liczył się do liczby krawców, co to jeżdżąc po dworach, szyją suknie dla ubogiej szlachty, oficjalistów, sług. Nie szył on tylko nic chłopom, bo też chłop nigdy jeszcze nie oddał kapoty do uszycia żydowi, mając swego krawca, swoje sukno, swój krój i gust, żadną modą i wpływem niezmieniony.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Z Tyśmienicy**, Stara to jak świat prawda, że najlepiej ludzi poznać w nieszczęściach, w potrzebie, jednem słowem w wielkich wypadkach. Jest to prawda, mnogiem doświadczeniem stwierdzona, tak w stosunkach prywatnych, jakoteż i w publicznych. Najlepszym w tej mierze kamieniem probierczym była ta nieszczęśliwa cholera, która w naszej prowincyi tyle zabrała ofiar. Nie chcę ja tu mówić o lekarskich zdolnościach lub dobrych chęciach. Prócz małych bardzo wyjątków, o których najlepiej zapomnieć, wszyscy lekarze robili co umieli i co mogli. Lecz byli między niemi tacy, którzy powołanie swoje lekarskie z wyższego rozumieć chcieli stanowiska; oni byli lekarzami nie z obowiązku tylko, ale i z uczucia razem; oni nie tylko ratowali głową, umiejętnością, ale sercem, poświęceniem się. Jednym z takich był w naszej okolicy p. W n o r o w s k i, dominikalny lekarz w Tyśmienicy. To najmniejsza, że żaden z lekarzy tyle co on nie wyratował ludzi. Nazywają to szczęściem lekarskiem; ja bym to nazwał raczej błogosławieństwem bożem, które nagradza szlachetne usiłowania szczęśliwym skutkiem. Ważniejszem nadto było jego, na które patrzaliśmy wszysky bezwa-

runkowe poświęcenie się ratunkowi chorych. Przez cały czas trwającej zarazy można bez przesady powiedzieć, że niedojadł i niedospał, dzień i noc ciągle na nogach czy ná wózku gonił od jednego chorego do drugiego. I nie zimną tylko przyniósł radę, ale rzeczywisty ratunek, któremu przewodniczył z energją pociągającą drugich za sobą, i budzącą już w samym chorym wiarę i nadzieję ozdrowienia. Ani też samolubne miał na myśli względy! Wszakże on tam najwięcej biegł z ratunkiem gdzie go najwięcej potrzebowano, gdzie najsilniej zajadła panowała zaraza. A więc oczywiście zwiedzał najwięcej miejskich poddaszów lub chat zamiejskich. I to błogosławieństwo, to wyższe wynagrodzenie, o którem wyżej wspomniałem nie minęło go. Nietylko bowiem Tyśmienica w której mieszka, wystawiona przy każdej epidemii na mnogie ofiary, tym razem jakby jego opieką człowieczą najmniej ucierpiała, na blisko bowiem 10000 mieszkańców ledwie kilkanaście było i to wątpliwych wypadków śmierci; ale co więcej opatrzność dała mu tę wielką pociechę, że zdołał uratować własnego ojca, staruszka już, którego napad choleryczny był nadzwyczaj silny i nagły. Słów tych kilka kończę zapewnieniem że pisząc o tym zewszechmiar zacnym mężu, nie idę za popędem żadnej osobistości, ledwie bowiem znam p. Wnorowskiego, ale za głosem publicznym, za powszechnem uczuciem.

A. G.

* **Z nad Wiaru.** Wsshód słońca 1. Października opromienił nam świeżo dymiące gruzy spalonej świątyni i klasztoru OO. Franciszkanów na górze kalwaryjskiej pacławskiej. Niemając sposobności na miejscu przypatrzyć się zniszczeniu, dowiedziałem się z opowiadania iż pożar wszczął się z gumien otaczających klasztór, a ztamtąd dostał się do klasztoru i przez okna do wnętrza kościoła. Szkody mają być niesłychane; prócz pary ołtarzy wszystko poszło z dymem. Jak mówią fajka miała być tą razą przyczyną tego nieszczęścia.

* Przed kilku dniami wieczorem przechadzający się po ogrodzie pojezuickim, usłyszeli nagle głos jakiejś muzyki. W mieście wszystko wzbudza ciekawość, wszyscy więc pociągnęli za tym głosem, który coraz silniej się odzywał. Słychać było całą prawie kapelę, odzywały się różne składowe instrumenta; głos muzyki wychodził z dworku p. Adamskiego. Ciekawi zbiegli się, chcąc sami wyśledzić, co to za rodzaj nowej orkiestry, bo z razu poznać nie mogli żadnego z dobrze znanych w stolicy naszej wędrujących towarzystw muzycznych. Tymczasem prócz ciekawości zajmowała przytomnych i sama muzyka, wykonująca przez godzinę blisko z szczególnym dzwiękiem i precyzją rozmaite utwory muzyczne: kadryle z Rygoleta, Tymolskiego walce, Strausa polki i t. p. Aż nareszcie gdy już zamilkł ostatni dzwięk, postrzegają wychodzących z ogródka p. Adamskiego muzyków. Jakież było zadziwienie przytomnych na widok muzyki z samych malców złożonej? To byli ślepi z tutejszego zakładu; na ich czele szedł nauczyciel zakładu p. Wygrzywalski, prowadząc za ręce dwóch ślepych chłopaków, a za niemi cicho i spokojnie szli drudzy członkowie tej szczególnej orkiestry z swojemi instrumentami. Mimowolnie obecni temu zdarzeniu rozczulili się; będąc między niemi nie mogę przenieść abym tej rzeczywiście w każde uczucie bijącej sceny do powszechnej nie podał wiadomości. Czyliż nie jest godną zastanowienia ta sztuka, która potrafi ślepego nauczyć muzyki, wymagającej przecie znajomości nut. Jak musi być przy tem mozolna praca nauczyciela. I jakaż nareszcie należy wdzięczność szanownemu nauczycielowi p. Wygrzywalskiemu, że w krótkim czasie swoje biedne kaleki do takiej w muzyce doprowadził doskonałości. Warto zaiste by publiczność nasza bliżej poznała się z tą ślepą orkiestrą i ze sposobem jakiego potemu używa p. Wygrzywalski, i słusznem uznaniem wynadgradzała jego pożyteczną pracę. Bo czyż może być co przyjemniejszego i pożądańszego dla ślepego, któremu odjęty jest widok cudów świata który żyć tylko może resztą zmysłów, i myślą wewnętrzną, jak gdy potrafi radować się cudami tonów i śpiewu, które go pocieszą i dadzą choć na chwilę zapomnieć o smutnem kalectwie. Jest to skazówka dla tych rodziców, czasem i majętnych, których los nieszczęśliwy ślepemi obdarzył dziećmi; nauką muzyki zdołają i sobie i dzieciom choć w części nieszczęście to zrobić znośniejszem.

Przyjechali od dnia 8. do 10. Października do Lwowa.

Hr. Krasiński Piotr z Rohatyna. Hr. Zabielski Józef z Krakowa. Hr. Starzyński Józef z Mogielnicy. PP. Zurowski Antoni z Nehrybki, Pajączkowski Narcyz, z Sambora. Cywiński Lucian, z Nowosielec. Ustrzycki Władysław, z Dubkowic. Kozłowski Anastazy, z Malawy. Czermiński Julian, z Glińska. Papara Antoni z Batiatycz. Gnoiński Alex., z Krasny. Linhard Antoni, z Zółkwi.

Hr. Badeni Alexander, z Glinian. Hr. Mier Henryk, z Buska. Br. Vernier-Rongemont Jan, z Przemyśla. PP. Rudnicki Tadeusz, z Strzelisk. Ochocki Kalixt, z Żyrawy. Babecki Kajetan. z Byszowa. Boczkowski Kaspar, z Wołowego.

Wyjechali od dnia 8. do 10. Października ze Lwowa.

PP, Jełowicki Wenant, do Hodowic. Suchodolski Leon do Sassowa. Wierzchowski Wicenty, do Kretowic. Małecki Kajetan, do Skomoroch. Torosiewicz Maurycy, do Ostrowa. Klein Hipolit do Radziechowa.

Hr. Karnicki Teodor, do Michałowiec. Hr. Skarbek Władysław, do Tarnopola. PP. Wojczyński Alfred, do Tuligłów. Skarzyński Władysław, do Bartatowa. Ubysz Oktaw. do Żółkwi.

Kurs telegrafowany z Wiednia 10. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{1}{4}$	Pożyczka 5%	$74\frac{1}{2}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{1}{2}$	Akcye banku	1051
Londyn za 1 funt szterl.,	1058	Kolej północna	$2097\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$111\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$66\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{1}{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$96\frac{1}{8}$
Agio duk. ces.	$17\frac{3}{8}$	Pozyczka narodowa . .	78

Wczorajszy **Kurs Lwowski**	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	16	złr.	5	kr	20
Dukat cesarski	«	5	»	19	»	5	»	22
Półimperyał zł. rosyjski . . , ...	«	9	«	6	»	9	»	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	45	«	1	»	46
Talar pruski	»	1	«	40	»	1	«	42
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	15	»	1	»	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	91	«	30		92	»	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		65	»	45	»	66	«	15
5 proc. pożyczka narodowa		78	»	—	»	78	»	40

Lwów, 10. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po — złr. — kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 27 złr. 30 kr. do 28 złr. — kr. Jeczmienia po 15 złr. — kr do 18 złr. — kr. Owsa po 15 złr. 30 kr. do 21 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 10 złr. — kr do 11 złr. 45 kr. Sag drzewa bukowego 45 złr. — kr. do 61 złr. 15 kr. Sosnowego po 36 złr. 15 kr. do 39 złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 35 kr. do 3 złr. 5 kr. — Centnar słomy 2 złr. — kr. do 2 złr. 30 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity beopłaty 4 złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**